

Zygmunt Bauman

O tarapatach tożsamości w ciasnym świecie

ER(R)GO. Teoria–Literatura–Kultura nr 1 (6), 9-25

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

O tarapatach tożsamości w ciasnym świecie

Widmo krąży po planecie – widmo ksenofobii. Stare i nowe, nigdy do końca wygasłe lub świeżo wzniecone plemienne zadry i waśnie, spotkały się, zmieszały i stopiły w jedno z obawami i obsesjami całkiem nowego chowu: ze strachem o bezpieczeństwo osobiste, wydestylowanym ze starych i nowych niepewności i chybotliwości płynno-nowoczesnego bytu¹. Iście piekielna to mieszanka.

Ludzie znudzeni i do cna wyczerpani powtarzanymi w kółko, nigdy ostatecznymi testami przysposobienia do życia i egzaminami z życiowej sprawności, przerażeni do szpiku kości tyleż jawną co niewytłumaczalną chwiejnością stanowisk i pozycji, kapryśnością fortuny i gęstością globalnej mgły spowijającej widoki na przyszłość, szukają gorliwie winowajców ich utrapień i niedoli. Znajdują ich, jak się należało spodziewać, pod najbliższą latarnią uliczną – w jedynym miejscu wśród mroków widocznym, bo jaskrawo przez usługane siły prawa i ładu oświetlonym: „to przestępcy zagrażają naszemu życiu, domostwu, własności – a spośród obcych się oni rekrutują”; a zatem „jeśli tylko tych obcych spędzić do kupy, osadzić pod kluczem lub otoczyć kolczastym drutem i odtransportować skąd przybyli, odzyskałoby się utracone, lub raczej ukradzione, bezpieczeństwo”.

Swój przegląd najświeższych przesunięć w widmie politycznym Europy Donald G. McNeil Jr zatytułował „Politycy rajfurzą strachom przed przestępczością”². W części świata zawiadywanej przez demokratycznie wybrane rządy obietnica poskromienia przestępców i zerowej wobec kryminalistów tolerancji okazuje się w walce wyborczej atutem bijącym karty wszystkich pozostałych maści, ale zwycięstwo w rozgrywce gwarantuje kombinacja obietnicy nowych więzień, dodatkowych policjantów i dłuższych wyroków z zapewnieniami pokończenia z imigracją, ukrócenia praw do azylu i zaostrzenia warunków stawianych przybyszom ubiegającym się o naturalizację. Jak to McNeil ujął – „Wzdłuż i wszerz kontynentu politycy posługują się stereotypem ‘obcy sprawca i przestępstw’ dla zszywania nienadającej się do afiszowania nienawiści etnicznej z bardziej politycznie strawną troską o bezpieczeństwo osobiste”.

Francuskie wybory prezydenckie 2002 roku już od pierwszych chwil wyrodziły się w publiczną licytację, w której dwaj napoważniejsi konkurenci do Pałacu Elizejskiego, Chirac i Jospin, zabiegali o poparcie elektoratu obiecując coraz surowsze sposoby rozprawiania się z przestępcami i nieproszonymi imigrantami – ale głównie z imigracją jako wylęgarnią przestępców i przestępczością zrodzoną z imigracji³. Obaj kandydaci czynili wszystko co w ich mocy by niepokój wyborców, wynikły z dojmującego poczucia *precarité* (czyli ze strachu przed niejasnością i kruchością swej pozycji społecznej, splecionego z okrutną niepewnością co do przyszłości egzystencji i zarobków), której zaradzić nie mogli, zognisko-

wać na groźbach, realnych lub domniemanych, dla bezpieczeństwa osobistego (a więc zagrażających ciału, posiadłościom, domostwu, okolicy sąsiedzkiej). Już 14 lipca 2001 roku Chirac wprawił piekielną maszynę w ruch, ogłaszając potrzebę walki z „wzbierającą powodzią zagrożeń dla bezpieczeństwa Francuzów” sygnalizowaną przez (również przy tej okazji ogłoszony publicznie) dziesięcioprocentowy wzrost przestępczości w pierwszej połowie roku, i ślubując, że „tolerancja zerowa” stanie się zasadą prawną z chwilą, gdy Francuzi wybiorą go na prezydenta. Jospin podjął niezwłocznie zaintonowany przez konkurenta motyw, komponując nowe wariacje na wspólny odtąd dla obu kompozytorów temat (choć – nieoczekiwanie dla czołowych solistów, choć nie dla uświadomionych socjologicznie analityków – to permutacje autsajdera Le Pena zdobyły największy w konkursie poklask, jako najczystsze, najprostsze, najbardziej chwytliwe dla ucha i najłatwiejsze do zapamiętania). 28 sierpnia Jospin wypowiedział „wojnę bez pobłażania” zagrożeniom dla bezpieczeństwa obywateli, zaś 6 września Daniel Vaillant i Marylise Lebranchu, jego ministrowie spraw wewnętrznych i sprawiedliwości, zaprzysięgli położenie kresu tolerancji wobec wykroczeń jakiegokolwiek odmiany. Pierwszą reakcją Vaillanta na wydarzenia 11 września było zwiększenie uprawnień policji wobec (głównie „obcej etnicznie”) młodzieży, osławionych *banlieues*, w których wedle od dawna lansowanej wersji oficjalnej warzyła się mikstura trującej życie Francuzom *precarité*. Co się samego Jospina tyczy, pomstował on na „szkołę angeliczną” w kwestiach praktyki karnej; sięgając po coraz jadowitsze epitety karcił jej zwolenników za zalecanie pobłażliwości i wyrozumiałych wobec przestępców postaw; zaklinał się przy tym, że do „szkoły angelicznej” nigdy nie należał i nigdy nie pójdzie na żadne wobec niej ustępstwa. Licytacja trwała, i śrubowano ceny oferowane za fotel prezydencki. Chirac obiecał założyć ministerstwo bezpieczeństwa wewnętrznego; Jospin, w odpowiedzi, zapowiedział powołanie ministerstwa „odpowiedzialnego za bezpieczeństwo publiczne” i „koordynującego działania organów ścigających i karnych”. Gdy Chirac poddał rozważaniu pomysł zamkniętych zakładów dla izolacji młodocianych przestępców, Jospin zaripostował wizją „zamkniętych struktur” dla tychże, podnosząc jednak stawkę obietnicą „skazywania winnych na miejscu”.

Zaledwie trzy dziesięciolecia temu Portugalia była głównym obok Turcji dostarcycielem *Gastarbeiter*, zaciekle i coraz zacieklej oskarżanych przez niemieckich *bürgerów* o skażenie ich rodzimego środowiska obcymi obyczajami i podkopywanie „umowy społecznej” na której od czasów wojny wspierał się ich dobrobyt i poczucie bezpieczeństwa. Dziś, dzięki radykalnie odmienionej fortunie, Portugalia przeobraziła się z kraju eksportującego siłę roboczą w kraj importujący. Niedola i upokorzenia jakie towarzyszyły zarabianiu na chleb z dala od ojczyzny poszły w zapomnienie. 27 % Portugalczyków oznajmiło, że tereny sąsiedzkie skażone przez występne praktyki cudzoziemców sprawiają im najwięcej troski, a nowo przybyły do politycznego kasyna Paulo Portas, grając jedną tylko, anty-imigrancką kartą, walnie dopomógł koalicji prawicowych ugrupowań w przejęciu władzy (podobnie się stało za sprawą Duńskiej Partii Ludowej Pii Kiersga-

ard w Danii, Ligi Północnej Umberto Bossi'ego we Włoszech, czy zapamiętałe anty-imigranckiej Partii Postępu w Norwegii – a więc w krajach, które zaledwie parę lat temu posyłały swe dzieci na obczyznę w nadziei, że znajdą tam chleb, jakiego w krajach ojczystych brakło).

Te i podobne wieści nadchodzące z ton nadających terenów przedostały się na pierwsze strony opiniotwórczej prasy „pierwszego świata”. Masie anty-imigranckiej fobii, rozlanej po zakamarkach egzotycznych z punktu widzenia europejskiego proscenium politycznego, rzadko się to udaje; pozostaje ona poza obrębem informacyjnego tworzywa, z którego ugniata się formuły dominującej dziś w świecie polityki. A przecież przypisywanie odpowiedzialności za wszelkie bolączki i kłopoty kraju imigrantom – obcym, nowo przybyłym, a już szczególnie nowo przybyłym obcym – staje się dziś powszechnym, planetarnym iście obyczajem. By zacytować Heather Grabbe, Dyrektora Ośrodka Badań nad Reformą Europejską⁴, „Niemcy oskarżają Polaków, Polacy Ukraińców, Ukraińcy Kyrgizów i Uzbeków”, zaś kraje jak Rumunia, Bułgaria, Węgry czy Słowacja, nie dość chyba jeszcze dostatnie by stać się magnesem dla wynędzniałych i zgłodniałych sąsiadów, kierują niepokój i gniew ludowy ku zawsze będącym na podporządku i trzymanym w pogotowiu winowajcom: Cyganom, miejscowym ale wędrującym, pozbawionym stałego adresu, a przeto – wszędzie gdzie są – chronicznie nowo przybyłym i obcym.

*

Od chwili swych narodzin, i przez cały czas swego istnienia, nowoczesność wytwarzała, i nadal wytwarza, masę „ludzkich odpadów” (ludzi zbędnych i nieużytecznych, produktów ubocznych „postępowych reform” lub „braków” – produktów dyskwalifikowanych i eliminowanych w toku testów jakościowych). Owe ludzkie odrzuty były i są szczególnie liczne w dwu branżach nowoczesnego przemysłu – dziś jak i dawniej pełną parą pracujących.

Zadaniem pierwszej z tych branż jest wytwarzanie i odtwarzanie ładu społecznego. Każdy ład jest wybiórczy, żaden nie ma zastosowania dla całego przeznaczonego dla przeróbki surowca i nie może go w całości wchłonąć. Ład społeczny nie jest wyjątkiem: każdy jego model wymaga selekcji, separacji, segregacji, przycinania, odcinania i usuwania pewnych części czy składników ludzkiego surowca – tych, które nie nadają się do przerobu lub dla których zabrakło miejsca w modelu produkowanego ładu. U końca produkcyjnego procesu takie części i składniki, odbiegające standardem od produktów zamierzonych, klasyfikowane są jako „odrzuty”.

Drugą gałęzią nowoczesnego przemysłu wyróżniającą się wysoką proporcją „odpadów ludzkich” okazał się postęp gospodarczy (czyli, zważywszy że mierzy się go ilością pieniędzy przechodzących z rąk do rąk, ekstensywny i intensywny wzrost wymiany rynkowo-pieniężnej). Wymaga on dewaluacji, marginalizacji bądź likwidacji coraz to innych sposobów wytwarzania środków do życia, których w obrót pieniężny nie da się wmontować, jako że w wypadku pieniężnej konwersji nie osiągnęłyby wymaganego poziomu „wydajności” (mówiąc ściślej rentowności:

stosunku przychodu do zratrat finansowych). Populacji, jakie odtwarzały w przeszłości swą egzystencję na zdevaluowane obecnie sposoby, nie daje się na ogół w całości zaasymilować w systemach gospodarczych, które owe sposoby wyparły i zastąpiły. Pewna, a często i znaczna ich część nie posiada zasobów czy kwalifikacji niezbędnych dla zdobywania środków do życia w nowym układzie gospodarczym, zaś dawne sposoby odtwarzania egzystencji utrzymania się przy życiu już im nie gwarantują.

Rosnąca nieubłagana masa „ludzkich odpadów”, odrzutów „rozwoju społecznego” nad jakim pracowały zgodnie obie wspomniane tu, najbardziej z nowoczesnych nowoczesne, gałęzie nowoczesnego przemysłu, mogła mieć skutki katastrofalne. Mogła spowodować wstrząsy społeczne, które rozsadziłyby mozolnie konstruowane ramy ludzkiego współżycia (nie przypadkiem Auguste Comte, założyciel nowoczesnych nauk społecznych, uznał pogodzenie „postępu” z „porządkiem społecznym” za najtrudniejsze z wyzwań naddciągającej ery wiedzy i praktyki „pozytywnej”). Do katastrofy jednak nie doszło (choć nie raz było do niej blisko), a to dzięki innej branży przemysłu w erze nowoczesnej rozkwitłej: społecznego odpowiednika biur asenizacyjnych, zakładów oczyszczania miasta, wywózki nieczystości i ich spopielania.

Przemysł „asenizacji społecznej” mógł rosnąć bez przeszkód i wywiązywać się się ze swych zadań bez zarzutu dzięki temu, że ogromne połacie planety obrócono w wysypiska, na które zwalano „nadwyżki ludnościowe” kolejno wytwarzane w unowocześniających się bądź unowocześnianych segmentach planety. Dało się w ten sposób rozładowywać hałdy „ludzkich odrzutów” zanim urosnąć mogły do rozmiarów groźących samozapłonem i eksplozją.

Coraz mniej dziś na planecie terenów jakie użyć by można jako zsympisk dla pozbycia się ludzkich odpadów. Rozmiary potencjalnych śmietnisk kurczą się raptownie, w znacznej części dzięki niebywałym sukcesom modernizacji: procesy unowocześniania dotarły dziś do najdalszych zakątków kuli ziemskiej. Opisywane pod mianem „globalizacji”, procesy te doprowadziły do scalenia globu w stopniu nigdy przedtem niespotykanym. Teraz dopiero zdajemy sobie sprawę jak trafna była obserwacja Kanta sprzed dwu z górą stuleci – że na kulistej planecie oddalić się od siebie, a już tym bardziej na „bezpieczną odległość”, nie można. Im bardziej wydłużyc się staramy dzielącą nas odległość, tym bliżsi jesteśmy deptania sobie po piętach...

W dzisiejszych czasach nowoczesna produkcja „odrzutów ludzkich” idzie pełną parą – jest bodaj jedną z najregularniej rosnących gałęzi nowoczesnego przemysłu. Wytwórnice ładu społecznego i gospodarczego postępu pracują na pełnych obrotach i do granic wytrzymałości. Ale rosnącej sterty odpadów nie ma dokąd usuwać; bliska jest ona masy, jaka grozi samozapłonem i eksplozją... Zakłady asenizacyjne nadążyć nie mogą. To one stanowią dziś, by się spopularyzowanym przez ekonomistów trafaretem posłużyć, „wąskie gardło” gospodarki światowej. W rozziwieniu między intensywną produkcją „ludzi zbędnych” a kurczącymi się możliwościami ich usuwania lęgną się główne konflikty naszych czasów...

*

Narodziny suwerennych państw nowoczesnych zbiegły się w czasie z pojawieniem „apatrydów” („bezzaświadczeni”), ludzi „bez dokumentów” – oraz (dziwnym, choć nie całkiem przecież dziwnym, zbiegiem okoliczności) idei *unwertes Leben*, owej najświeższej reinkarnacji starożytnej instytucji prawnej *homo sacer*⁵, jaka zdaniem Giorgio Agambena ucieleśniała najpełniej i najdobitniej prawo suwerena do wyłączenia istot ludzkich spod ochrony prawa zarówno ludzkiego, jak i boskiego, a więc do przyzwolenia na ich zgładzenie, lecz pozbawienia aktu ich zabójstwa wszelkiego sensu sakralnego lub etycznego.

Zapał władz suwerennych do klasyfikowania, kartotekowania, włączania i wyłączenia, „zaliczania do...” i „skreślenia z...”, był w pierwszej fazie dziejów nowoczesnych poniekąd lżejszy dla jego przedmiotów/ofiar do zniesienia dzięki odkrywaniu, a raczej stwarzaniu rozległych terenów „ziemi niczyjej”, które to właśnie tereny służyć mogły pozbywaniu się ludzi niechcianych; ale mogły być one zarazem (i były) schronieniem (zaiste, ziemią obiecaną) dla wielu innych, którzy zrzędzeniem nieprzychylnego im losu wypadli z wehikułu postępu lub trafili pod jego koła. Rzecz jasna, żadne tereny nie *były* wtedy, jak nie są dzisiaj, „niczyje” w sensie jaki temu pojęciu przypisano. Ale liczne, i coraz liczniejsze połacie globu *proklamowano* „ziemią niczyją”. Proklamacja przychodziła tym łatwiej, im szybciej rósł dystans między potęgą metropolii, która proklamacje wydawała, a bezsilnością tych, których pechem było urodzić się i żyć na peryferiach, o których statusie bezpieczeństwa proklamacje orzekały i powiadały.

Jeśli potęga metropolii była wystarczająco silna, by słowo ciałem uczynić, można było, w miarę potrzeby i ochoty, unieważnić i pozbawić konsekwencji fakt zaludnienia terenów wyznaczonych na „niczyje” przez „prymitywnych”, „dzikich” lub „zacofanych” tubylców. Można było przekształcić hurtowo ludność zadekretowanej „ziemi niczyjej” w zbiorowisko *homini sacri* przeznaczonych na ubój (odmawiając członkom skazanej na zagładę zbiorowości tej nawet pociechy, że są ofiarami składanymi na ołtarzu lepszej sprawy) lub na powolne wymieranie „z przyczyn naturalnych”. W jakiś czas później technologia zrodzona i rozwijana w toku „uniczyniania” czy „udziejwiczniania” egzotycznych ziem ugodziła rykoszetem w Europę. Jak zauważył Aimé Césaire w 1855 roku⁶, mieszczanie Europy (i jej zamorskich filii) nie mogli wybaczyć Hitlerowi nie tyle zbrodni ludobójstwa, co zastosowania u nich w domu, w rodzinnej Europie, metod kolonialnych przeznaczonych w założeniu dla Indian, Arabów, czy Murzynów i innych „kolorowych”.

By się pozbyć swych *homini sacri* domowego chowu, Europa miała dawniej do dyspozycji mnóstwo zamorskich Botany Bays i Wysp Diabelskich, choćby i mogła tylko zazdrośnie lypać z dala okiem na bezkresne syberyjskie pustkowia, jakimi posługiwali się w podobnym celu władcy rosyjskiego lądowego imperium. Dla mniej przez los rozpieszczanych Europejczyków, którzy daremnie szukali przyzwoitej siedziby we własnym kraju, ziemie wtórnie „udziejwicone” były nęcącą alternatywą, w której – a nuż się tym razem uda? – mogli byli zacząć życie od nowa i z większym niż za pierwszą próbą powodzeniem. Wieśniacy irlandzcy

szukali na ziemi niczyjej ratunku przed klęską ziemniaczanej zarazy, a chłopcy polscy, niemieccy, czy szwedzcy wybawienia od ciasnoty własnych przepełnionych wsi i tłocznych, a nędznych miasteczek. Żydzi Odessy czy Kiszyniowa szukali tam schronienia przed pogromami, a wyznawcy sekt religijnych ucieczki przed prześladowaniami oficjalnych kościołów. Młodszy synowie utytułowanych rodów zgłaszali się do odległych „placówek cywilizacji”, by zaszczytów i fortun jakich odmówiono im w kraju ojczystym dorobić się w służbie administracji czy armii kolonialnej.

Krótko mówiąc, przez dwa wieki metropolia nowego wspaniałego nowoczesnego świata nie musiała frasować się ciasnotą globu; nowoczesnej cywilizacji, zrodzonej dla ekspansji i transgresji i ekspansją oraz transgresją się żywiącej, nie brakło pustych ziem do ekspansji czy pasm górskich, kniei i mórz do przekraczania. Zasoby ziem opatrzonej etykietą *ubi leones* były dalekie od wyczerpania, a jako że tylko od mocy oręża zależało w jakim miejscu globusu etykietę naklejać, to i zdawały się być po wsze czasy niewyczerpalne.

Odległe „ziemie niczyje” były kłopotem bezpieczeństwa chroniącą raptownie nowoczesniającą się metropolię przed przegrzaniem i eksplozją; były piorunochronem dla nadmiaru niespożytej, a zbyt wielkiej na domowe potrzeby, energii. Awanturnicy mogli oddawać się ulubionym awanturom bez szkody (a często z pożytkiem) dla swych rodzimych okolic, hazardziści mieli dość okazji dla kuszenia fortuny, a pokonani mieli gdzie szukać rewanżu za swój los pechowy. Któż miałby się frasować ciasnotą globu? Można było o świecie powiedzieć wszystko – tylko nie to, że był pełny...

Być może tak było w pierwszych dwu wiekach nowoczesnej historii. Dzisiaj jednak tak nie jest. Nikt się dziś nie kwapi do wznoszenia Posągów Wolności obiecujących przygarnąć i przytulić odtrącone gdzie indziej i upokarzane masy. Nie ma już dokąd uciekać, gdzie się chronić – chyba że się jest pomazańcem fortuny lub zbrodniarzem. Ale też nigdzie (i jest to chyba największa nowość ery „płynnej nowoczesności”) nie jest się tak naprawdę, w pełni *chez soi*, u siebie w domu, wygodnie, przytulnie i bezpiecznie.

Zdarzenia 11 września 2001 roku ujawniły ten nowy stan rzeczy w sposób na tyle dramatyczny i spektakularny, by doprowadzić prawdę do świadomości każdego, kto żywił jeszcze jakiegokolwiek co do niego wątpliwości. Nowa po-wrześniowa mądrość, w podsumowaniu Erica le Bouchera⁷, poucza że „świata nie da się już podzielić na dwie odizolowane od siebie części: jedną, zamożną i bezpiecznie przez tarczę przeciwrakietową chronioną, i tę drugą ... porzuconą na pastwę swych wojen i «archaizmów»”. Po jedenastym września stało się oczywiste, że „odległe kraje nie mogą trwać w stanie anarchii”, w jakim krajom bogatym i własnymi sprawami zafrasowanym chciałoby się je pozostawić.

Nie pytaj już, gdzie przebiega front czy gdzie się znajduje „strefa frontowa”: jest ona tutaj, wszędzie wokół, dookoła i wewnątrz twego miasta czy wioski, w miejskim centrum, jak i na odległych przedmieściach. A na froncie jak to na froncie – wszystko może się zdarzyć, ale niczego nie można tak naprawdę i do

końca być pewnym; zaś wszystko, czego się ludzie podejmują dla naprawy sytuacji, jest li tylko ryzyka pełnym eksperymentem.

*

Świat jest pełen

Parafrazując słynną tezę Derridy, możemy powiedzieć że *il n'y a pas dehors du monde*... Nie ma już nic „na zewnątrz”, nie ma dokąd uciec, nie ma gdzie się schować. Gdziekolwiek by się człowiek nie znalazł, nie poczuje się w pełni i bez reszty „u siebie w domu”; a jeśli i powie, że jest u siebie, i że reszta świata go nie obchodzi, i że „wolność Tomku w swoim domku” – rychło będzie wyprowadzony z błędu; ściągnięty, by tak rzec, z obłoków na ziemię. Era, jaka zaczęła się od budowy Muru Hadriana czy Chińskiego Muru i osiągnęła swój punkt kulminacyjny wraz z konstrukcją Linii Maginota czy Zygfrйда, wraz z upadkiem Muru Berlińskiego dobiegła końca. Nie można się już dziś od reszty świata odgradzić. Minęły czasy pustelni i fortec.

W tym świecie wszyscy jesteście „wewnątrz”, skazani na intymne i natrętne sąsiedztwo wszystkich pozostałych mieszkańców globu; wszędobylskie i wścibskie sąsiedztwo, o jakim nie dane nam choćby na chwilę zapomnieć i jakiego nie wolno nam rzucić z rachunku zarówno wtedy, gdy mierzymy siły na zamiary, jak i wtedy, gdy mierzymy zamiar wedle sił.

O tym wypełnieniu się świata nie dowiadujemy się z gazet czy plotek tylko. Doświadczamy go „od środka”, przeżywamy je na co dzień, czujemy je w kościołach. Biadają, którzy je zignorują lub zbagatelizują; przebudzenie będzie okrutne, o czym ze zgrozą przekonali się rankiem jedenastego września mieszkańcy Nowego Yorku, żyjący dotąd w błogim przeświadczeniu że to, co robią u siebie w domu, za szerokimi plecami oficerów paszportowych i celników, i to co się dzieje „tam daleko”, po drugiej stronie oceanów, nie mają ze sobą nic wspólnego; i że wszystkie ołówki służące kreśleniu granicy oddzielającej życie pomyślne i dostatnie od życia w niedoli i upodleniu są do nabycia po tej tylko stronie granicy – pilnie strzeżonej, z dnia na dzień coraz szczelniejszej, a jak się powiedzie to i wkrótce przed intruzami raz na zawsze zaryglowanej.

Gdy chyżość przekazów (a w tym i przekazu komend do działania) zbliża się do prędkości światła, gdy skutki następują niemal natychmiast po przyczynach – wówczas nawet najodleglejsze przestrzenne tereny lądują w bezpośrednim sąsiedztwie. Zacierają się w końcu różnica między przyczyną a skutkiem. Nikną paury i wszelkie inne przedziały czasowe, nie ma chwili do oddechu, wszystko zdaje się dziać naraz i mknąć bez wytchnienia. Kurczenie się czasu odbija się na doznaniu przestrzennej bliskości: jest tak, jakbyśmy wszyscy ocierali się o siebie nawzajem łokciami.

Z wyluszczonej powyżej względów wypełnianie się globu w erze globalizacji różni się istotnie od ekspansji terytorialnej niedawnych jeszcze stosunkowo czasów. Nastąpiła, rzecz można, zmiana prawdziwie jakościowa. Jak to ujmuje Paul Virilio⁸ – miast rozległości terenów liczą się dziś głównie dystanse czasowe,

a że te skracają się nieprzerwanie wskutek wzrostu potencjału środków transportu, przekazu i działania na odległość, to rozległość terenów staje się coraz mniej istotna. „Nowa przestrzeń nie jest już czaso-przestrzenią, lecz szybkościo-przestrzenią...” powiada Virilio. Sądzi on, że prędkość przestała dziś być środkiem, a stała się czymś w rodzaju środowiska: przeobraziła się w rodzaj nasycającego planetę eteru, do którego w coraz szybszym tempie przenoszą się najistotniejsze (największymi konsekwencjami obciążone) działania ludzkie, nabierając w toku przeprowadzki nowych jakości, które tylko w nowym, eterycznym środowisku są możliwe – a są też w nim nieuniknione.

Najbardziej radykalną z innowacji jest nie tyle nagłość pojawiania się aktorów, co natychmiastowość ich znikania (czy nawet dokonywanie się akcji pod nieobecność aktora, lub raczej przy jego obecności *sous rature*, jak by to określił Jacques Derrida). W szybkościo-przestrzeni pojawienie się i znikanie sprasowane są w moment pozbawiony głębi czasowej. Czyny stają się w tych warunkach zasadniczo nieprzewidywalne. Nie da się im więc zapobiec; ale też z racji czasowego splaszczczenia akcji z reguły uchodzą one sprawcom bezkarnie. Konsekwencją nieprzewidywalności i bezkarności akcji jest z kolei faktyczna bezbronność jej potencjalnych obiektów i łatwość ich ugodzenia i porażenia (czyli, by użyć trudno przetłumaczalnego na polski zwrotu angielskiego – *mutually assured vulnerability*).

Najbardziej bodaj drastycznymi efektami nowej sytuacji jest beznadziejna nieuszczelność i kruchość wszelkich zakreślanych w przestrzeni granic, oraz daremność wszelkich prób ich trwałego wyznaczenia – nie mówiąc już o ich fortyfikacji i uszczelnieniu. Wszelkie granice są wiotkie, zwiewne i porowate. Jak i pozostałe solidne niegdyś kontury społecznego układu, zdradzają dziś wyraźną tendencję do nagłego zacierania. Gdy znikają, pozostaje tylko (bolesne niekiedy i tłumione, lub świadomie wskrzeszane i jątrzone, ale mimo wysiłku ulotne) wspomnienie ich wytyczania. Brak geograficznej czy topograficznej ciągłości terenu nie ma już większego znaczenia, jako że w szybkościo-przestrzeni wszystkie połacie globu są praktycznie w tej samej od siebie odległości. Są w gruncie rzeczy ze sobą styczne.

*

W „strefie frontowej” (*frontier-land*), w jaką wykształciła się globalna szybkościo-przestrzeń, liczą się oręż, przebiegłość i spryt, ale zwinność ruchów i przebiegłość okazują się w ostatecznym rachunku ważniejsze od zawartości arsenałów. Wewnątrz strefy frontowej palisady i zasieki z kolczastego drutu wyrażają intencje raczej niż kwitują rzeczywistość. Wszelkie wysiłki nadania dojrzałym bądź dopiero kielkującym konfliktom wymiaru terytorialnego, jak i wszelkie próby umiejscowienia i terenowego odseparowania przeciwników, rzadko w strefie frontowej przynoszą owoce. Z tej bezowocności wysiłku wszystkie uwikłane strony zdają sobie od początku sprawę, więc podejmuje się tu wysiłki na ogół bez większego przekonania. Nie wróży się im rychłego, a tym bardziej ostatecznego, sukcesu.

W powodzi nieustających potyczek frontowych rzadko kiedy traci się czas na kopanie okopów. Przeciwnicy są wciąż w ruchu (nawet ich status jest ruchomy:

przeciwnicy łatwo przedzierzają się w sojuszników – i na odwrót. Koalicje są płynne i rozpadliwe). Moc czy dokuczliwość stron mierzy się ich szybkością poruszania się, zdolnością zaskakiwania, nieprzewidywalnością (nielogicznością i brakiem konsekwencji, ściślej mówiąc) ich kolejnych poczynań. Przeciwnicy są, praktycznie rzecz biorąc, eksterytorialni. Są poza przestrzenią, poza logiką, poza kontrolą. W strefie frontowej wchodzi się do domów bez pukania, a i niekoniecznie przez drzwi – choćby i ta okoliczność opieszale tylko i z reguły z opóźnieniem docierała do świadomości lokatorów zajętych instalacją coraz wymyślniejszych zamków i kamer telewizyjnych.

Groźby aktów terrorystycznych w rodzaju jedenastego września można było domyślać się od dawna, w miarę upłynniania granic i przeobrażania świata w globalną strefę frontową. Groźba ta, jak można było przypuszczać, wynikała ze wznośzącej się fali egzystencjalnej niepewności, nadciągającej z „przestrzeni przepływów” (by się posłużyć terminem ukutym przez Manuela Castellsa): z obszaru nieoswojonego i niezagospodarowanego, politycznie niekontrolowanego, niepoddanego żadnym wiążącym regułom i umieszczonego poza obszarem suwerenności władz prawomocnych, zinstytucjonalizowanych. Ale manifestacja groźby w formie niezwykle dramatycznej na milionach ekranów telewizyjnych wyniosła domysły i podejrzenia do rangi powszechnie uznanej rzeczywistości. Dostarczyła też ona nowego słownictwa dla wyrażania niepokoju dotąd przeżywanego w pojedynkę, rozproszonych i trudnych do uchwycenia; słownictwa pozwalającego na to, by problemy współistnienia w skali planetarnej, kwestię bezpieczeństwa jako *globalnego* problemu, ująć w dobrze znanym, codziennie używanym i łatwo zrozumiałym języku bezpieczeństwa *osobistego*.

*

Arland Ussher podsumował lapidarnie pogląd Martina Heideggera na to, skąd się biorą nasze pytania o „istotę rzeczy”⁹: świat objawia się nam, gdy się psuje, zaskakuje, zawodzi. Póki wszystko jest zgodne z rutyną, czyli „jest w porządku”, „jak trzeba”, zgodne z oczekiwaniami, takie jak zawsze – nie mamy powodu pytać „jakie są rzeczy naprawdę”. I nie pytamy. Nie przyszłoby nam do głowy zastanawiać się nad istotą młotka, gdyby się młotek nie złamał i wbicie gwoźdźcia w ścianę stało się problemem wymagającym pomysłowości i rozwiązań, jakich nigdy dotąd nie wypadło nam stosować. Emil Durkheim powiadał, że istnienia twardej reguły, norm czy konieczności nigdy byśmy się nie domyślili, gdybyśmy nie nabili sobie guza z powodu ich ignorowania lub nie sparzyli palców przy próbach ich naruszenia.

Jak zauważył Jock Young, jeden z najoryginalniejszych angielskich socjologów, „gdy wspólnota się kruszy, odkrywamy tożsamość”¹⁰. „Wspólnota” na tym polega, że jednostka wie bez zastanawiania się gdzie jest, dokąd należy; wie kim jest, i wie też co czynić jej wypada i jak się zachowywać, by nikt wokół nie miał co do tego wątpliwości ani też zaczepkami czy niewczesnymi pytaniami w niej wątpliwości nie budził. We wspólnocie reguły postępowania wtopione są w nawyki – są przeto tak oczywiste, że aż niewidoczne (snop światła jest wszak naj-

lepszym schowkiem). A poczucie, że „wspólnota się kruszy” znaczy tyle, że reguły straciły dawną oczywistość, mnożą się sytuacje, w których nawyki niewiele pomogą albo i zaszkodzą, i w których nie jest jasne, jakimi regułami (jeśli w ogóle o regułach można w tej sytuacji mówić) wypada się posłużyć, a z wielu możliwych sposobów zachowania żaden nie ma stuprocentowego oparcia – a więc żaden wybór nie jest wolny od ryzyka, i przykrych konsekwencji z żadnego wyboru nie da się wykluczyć. Wtedy to „odkrywamy tożsamość”, a matką tego wynalazku jest fakt, że wybory zastąpiły mus, że zdani jesteśmy na własny rozum i spryt, że każdy(a) z nas odpowiadać będzie za trafność lub błędność wyborów.

Innymi słowy: „odkrywamy” tożsamość, gdy nie jest już *dana*, lecz *zadana*. Gdy trzeba ją dopiero *posiąść*, gdy nie da się jej posiąść raz na zawsze, ale trzeba ją brać w posiadanie wciąż na nowo, za każdym razem wybierając z innego zestawu możliwości, o jakim wiadomo, że się będzie zmieniał, ale nie wiadomo w jakim kierunku. „Odkrywam” tożsamość, gdy to ja, jednostka wybierająca i ponosząca konsekwencje swych wyborów, okazuję się jedynym ciągłym punktem odniesienia w potoku znikąd się pojawiających i w nicłość powracających wyzwań, szans, możliwości, pokus, grózb i recept na życie. I gdy – jak to ujął Anthony Elliott¹¹ – „kroczyć trzeba przez żywot bez absolutnych wskaźników i definitywnych autorytetów”. Z odkryciem tożsamości przychodzi na świat „podmiotowość refleksyjna”. Czy chcemy tego czy nie, musimy – by zacytować Alberto Melucci’ego¹² – „uczyć się decydowania kim jesteśmy i kim być chcemy”. Decydowania bez nadziei na dotarcie do kresu, zwanego prawdą, istotą czy autentyzmem naszego jestestwa.

O tożsamości można powiedzieć to, co Wojciech Kalaga napisał o znaku: że w każdym momencie interakcji między nim a światem (snując rozważania w innej niż tu przyjęta konwencji, Kalaga używa terminu „semiotyczny makrokosmos”) „ustanowiony zostaje telos i w każdym momencie zostaje unicestwiony i przemieniony. [...] Nigdy nie jest telosem ostatecznym, mogącym ów ruch zakończyć”.¹³ (Za Derridą powiedzielibyśmy, że tożsamość jest ciągiem iteracji, z których żadna nie jest reiteracją, prostym powtórzeniem). Tożsamość jest znakiem-projektem, znakiem-deklaracją, znakiem zawczasu sporządzonym, by pochwycić i zawrzeć sens naszego bycia-w-świecie; sens, który do owej ostatniej chwili jaka wszelkie poszukiwania zakończy, szuka siebie w dialogu z równie jak on *noch nicht geworden* i pozbawionym telosu światem. Wszelki godny swego miana dialog jest zgodą na odroczenie wyroku. W płynnie-nowoczesnym świecie dialog zwany tożsamością musi być zgodą na odroczenie bezterminowe.

To płynność świata sprawia, że decyzje trzeba podejmować wciąż na nowo. Wobec nowych wyzwań decyzje wczoraj podjęte niemieją lub dźwięczą pusto. Czegoś w każdej chwili brak, i w każdej chwili brak czego innego, a więc pytanie o tożsamość trzeba wciąż na nowo zadawać i żadnej odpowiedzi, choćby się i tego łąknęło, nie można udzielić raz na zawsze. Paul Ricoeur przepełowił pytanie o tożsamość: pytając o tożsamość, sugerował, pytamy o *l'ipseité* (o ową „jedyność” i „niepowtarzalność” która czyni nas od wszystkich innych bytów różny-

mi), i o *la mēmeté* (o „tęsamność” lub „takożsamność” – o pozostawanie tymże bytem na przekór wielokrotnym zmianom postaci). W płynnie-nowoczesnym świecie wypadałoby raczej powiedzieć że „takożsamność” osiąga się nie *mimo*, lecz poprzez (dzięki!) nieustającej ani na chwilę re-negocjacji „jedyności”. Na zerwanie negocjacji świat nie pozwoli. Powoływanie na dawniej zawarte porozumienia na nic się nie zda.

Szukanie odpowiedzi na oba pytania jest naszą sprawą, ale ocena jej poprawności naszą sprawą nie jest. Negocjacja, już z definicji samej, nie jest i nie może być monologiem. Moje postrzeżenie własnej tożsamości nie musi być wcale zgodne z tym, jak mą tożsamość postrzegają partnerzy dialogu – i vice versa. A póki nie uwierzę, że zgodność udało się osiągnąć, nie upewnię się że to, co za swą tożsamość uważam, na pewno nią jest. Gdyby zadanie osiągnięcia zgodności sprowadzało się do dialogu, mógłbym żywić nadzieję, że różnice zdań są chwilowe i przy odrobinie cierpliwości da się ich pozbyć. Ale w płynnie-nowoczesnym świecie okazje dla dialogu są rzadkie, spierać się wypada w tłumie i wśród kakofonii opinii, nigdy nie wiadomo, kto do negocjacji wtrąci swe trzy grosze, mało kto potrafi kontrolować dostęp do kanciastego stołu przy którym toczą się obrady...

Raymond Williams, wnikliwy badacz krętych dróg nowoczesnej kultury, zastanawiał się nad powszechnością „biadań nad utraconą przeszłością” wśród starszego pokolenia Anglików¹⁴. Dlaczego lamentowali gromadnie po „sklepikach narożnych, latarniach gazowych, dorożkach, tramwajach, straganach z pierogami”? Doszedł do wniosku, że wbrew pozorom szło tu nie tyle o walory jakich supermarketom, latarniom elektrycznym czy taksówkom lub autobusom zabrakło, ale o sposób w jaki zmiany warty dokonano: *zmieniono świat nie pytając się jego użytkowników o zgodę*. Stało się, co się stało, w następstwie „szeregu decyzji [...] jakich nigdy nie podejmowano społecznie w żadnym ze znaczeń tego słowa. Zmiany były narzucone przez priorytety gospodarcze”. Biadający biadali, bo skoro nie byli pomysłodawcami przemian, ich współautorami czy choćby współuczestnikami, musieli czuć się ich *ofiarami*. I to bez względu na to, czy ich los się pogorszył, czy też – odwrotnie – żyć zaczęło się im wygodniej...

Dziś stawką nie są już wprawdzie latarnie gazowe i dorożki, ale powody cierpień i narzekań pozostały podobne, choć przybyło ich i się namnożyło. Mozolnie konstruowane formuły życiowe stają się nieprzydatne i tylko do kosza (lub sentymentalnych wspomnień) się nadają dlatego, że świat jakiemu miały służyć zmienił się nie do poznania; ale doskwiera najbardziej ta okoliczność, że świat zmienił się ukradkiem, bez uprzedzenia, i bez pytania o zgodę.

Stawki przychodzą i odchodzą, ale pobudki do poszukiwania wciąż nowych powodów do żaloby i obiektów do oplakiwania pozostają te same. Mają one źródło w deficycie kontroli nad własnym losem. Ów deficyt odbierany jest jako przejaw pogardy i lekceważenia. Za lamentami kryje się dojmujące poczucie zniewagi i upokorzenia, wynikłe z odmowy prawa głosu i niezgody na liczenie się z głosem gdyby nawet, dziwnym trafem, do niego się doszło. Większość konfliktów społecznych w naszych czasach, jak sugeruje Melucci¹⁵, „wyraża chęć pu-

blicznego uznania... Przenosi ona na scenę publiczną definicje potrzeb i tożsamości ukształtowane początkowo w toku codziennych doświadczeń życiowych i w sieci międzyjednostkowych stosunków”.

Troska o tożsamość jest w ostatecznym rachunku troską o społeczne *uznanie*. A pojęcie „społecznego uznania” jest, jakby to Whitehead wyraził, „zasadniczo kwestionowane” i zjawiska, do których się ono odnosi, jest z natury przedmiotem konfliktu. Z tego to powodu zabiegom z tożsamością związanym, często przeżywanym jak fascynujące, a niekiedy i radosne gry wolnych konsumentów, i tak właśnie w licznych studiach interpretowanym, zdarza się też owocować zajadłymi, niekiedy i krwawymi antagonizmami.

*

We wnikliwym studium uczonych opinii na temat źródeł konfliktów etnicznych i sposobów ich zapobiegania opublikowanym ostatnio przez Joannę Cox¹⁶, czytamy: „trzeba wpieryć uczucie grupowego upokorzenia złagodzić emocjonalnie, nie ograniczając się do wytaczania przeciw nim racjonalnych argumentów, aby po grupie doznającej takich uczuć można się było spodziewać radowania różnorodnością otoczenia i towarzystwem odmiennych od niej ludzi”. Jest to ogólna konkluzja wysnuta z szerokiego wachlarza zbadanych przypadków i ich interpretacji. Upokorzenie jest realne, jeśli jest za takie przymowane i jako takie odczuwane; nabywa wtedy tej mocy przemożnej „faktu”, którą Durkheim uznał za znamię społecznej rzeczywistości. Nie można go z owej rzeczywistości „wyargumentować”. Poczucie upokorzenia można tylko leczyć aplikując specyfiki, których deficyt je spowodował: okazaniem szacunku, uznaniem godności ludzkiej, której składnikiem nieodzownym jest prawo do samostanowienia, naprawą krzywd, wyrównaniem upośledzeń.

Przypomnijmy: tożsamość pojawia się na życiowej wokandzie, gdy znika z życiowego tła wspólnota. Ta zmiana zwiastuje „indywidualizację na mocy dekretu”. Teraz każdy (czy każda) z nas ma prawo wybierać kim chce być – stać się – zostać. Takiej zapierającej dech w piersiach wolności samostanowienia dzieje ludzkie nie znały. Pokolenia minione marzyły o niej nadaremnie, przeglądając się jak w lustrze w losach tragicznych bohaterów *Bildungsromane*, szamoczących się jak motyle w siatce, tracąc w miarę szamotania barwne pyłki skrzydeł, szarzejąc, i kończąc w słoikach z formaliną, jedynych pomnikach ich bezpłodnej rebelii przeciw światu, który wolności wyboru im odmawiał. A gdy raz się wreszcie tej wolności zasmakowało, trudno byłoby jej się wyrzec...

Tylko że wolność samookreślenia tożsamości sama sprawą wolnego wyboru nie jest. Samookreślenie jest obowiązkiem: wymigać się od niego nie da, a przecież spełnić go nie łatwo. Samookreślenie nie jest wszak zadaniem jednorazowym, jakie można doprowadzić do końca, a jak się człowiek postara to i zakończyć szybko. Poprawniej byłoby mówić o obowiązku samookreślenia – zadaniu które w płynnym świecie wciąż podejmować wypada na nowo. Nawet w najlepszych okolicznościach pograża taki obowiązek człowieka w niepewności i szarpie nerwy; także i przyrodzonym Proteuszom, lub osobnikom na Proteusza zapatrzonym, w jego cu-

downej zdolności przeobrażania się rozmiłowanym, i proteuszowy proceder z powodzeniem uprawiającym, zdarza się od czasu do czasu pomarzyć o zawieszeniu albo i zakończeniu wysiłku, i związanych z nim napięć, o utrzymaniu postaci, która szczególnie do gustu im przypadła na dłużej, albo i na zawsze. Takie marzenia spełnić jednak równie trudno jak obowiązek nieustającego przerobu tożsamości.

Takich to cierpień źródłem, rzec można, jest powszechny obowiązek samookreślenia. Ale te przed chwilą opisane cierpienia są tylko jednym rodzajem utrapień doskwierających budowniczym tożsamości. Cierpienia proteuszy z przyrodzenia lub z treningu są niczym w porównaniu z problemami, z jakimi borykają się ludzie, których z tych czy innych powodów na samookreślenie się nie stać. Obowiązek samostanowienia osobowości jest powszechny, ale środki dla niego niezbędne bynajmniej powszechnymi nie są. Tożsamościowa „wolność pozytywna” (swoboda wyboru modelu tożsamości jakiego się pragnie i pewność, że model ów będzie społecznie zaakceptowany) rozdzielana jest skąpo i przysługuje daleko nie wszystkim; ale i „wolność negatywna”, zabezpieczenie przed narzuceniem tożsamości jakiej się nie pragnie i samemu nie przyjmuje daleko nie wszystkim jest dana. Wolność pozytywna pozostaje do dziś przywilejem mniejszości i nie znosi się na to, by mieć się stała dorobkiem powszechnym. Ale dla innej (a znacznej) mniejszości płynno-nowoczesnego społeczeństwa także i wolność negatywna pozostaje w sferze marzeń i dalekich od spełnienia postulatów.

Gdy tożsamości w społecznie zrozumiałej i akceptowanej formie buduje się przy pomocy wyborów konsumpcyjnych, ludzie których z braku dostatku nie stać na udział w grze konsumpcyjnej („konsumenci z uszczerbkiem”, „niespełnieni konsumenci”) z góry pozbawieni są praktycznych możliwości samookreślenia. Są w sytuacji owych niewolników hebrajskich w Egipcie, którym kazano robić cegły, ale odmówiono niezbędnych do produkcji plew, i którzy (bezsukutecznie, jak wiadomo) skarżyli się głuchemu na ich wołania Faraonowi: „Plew nie dają sługom twoim, a mówią: Cegłę róbcie. I oto, sługi twe biją, a lud twój grzeszy”¹⁷.

Aby być kowalem swej tożsamości, trzeba mieć dostęp do kuźni i kowalskie młoty. Jeśli jednego czy drugiego brak, przychodzi dźwigać tożsamość przez innych wykutą, jakby nie była niewygodna, nie na miarę zszyta, szkaradna czy godności nosiciela uwłaczająca. Narzucone tożsamości rzadko bywają dla ich zamierzonych odbiorców pochlebne, a nigdy niemal korzystne. Kuje się je dla pohańbienia i odmówienia cnót, nie dla glorii. A za narzuconą tożsamością, w cudzej kuźni wykutą bez liczenia się ze zdaniem adresata, podąża z reguły dyskryminacja.

Z cierpień tego rodzaju, zgodnie z prawidłowościami dysonansu poznawczego, rodzi się protest przeciw „tożsamości na zamówienie” czy „tożsamości do wyboru”. Jeśli godne pożądaniami tożsamości tkwią uparcie poza zasięgiem dłoni, jeśli ukuć ich na własną rękę się nie da, warto się pokusić o przekucie w tożsamość cech, które się już posiada, których wytwarzać czy nabywać nie trzeba i których nikt odmówić ani odebrać nie może. Ponętność takiej strategii rośnie, jeśli idzie o cechy wspólne upośledzonym i tym, którym udało się sporządzić godne pochwały i za-

zdrości tożsamości dla upośledzonych niedostępne. A pokusa jest wręcz nie do odparcia, jeśli owej ukutej z cech przypisanych tożsamości (właśnie z tego powodu, że jest z cech przypisanych, nienabywalnych i niezbywalnych ukuta) da się przypisać godność jaka dla tych, którym owych cech przypisanych brak, pozostanie niedostępna bez względu ich talenty i zmyślność w grze zwanej samookreśleniem.

W okresie, który przeszedł do amerykańskiej historii pod nazwą „Jim Crow”, biali fornale, komornicy i włóczędzy, objęci nazwą „white thrash” („białe plewy”), rekompensowali upokorzenia, jakich doznawali od zamożnej elity południowych stanów pomiataniem ludnością murzyńską. Konkurować z elitą o godne szacunku tożsamości nie miało sensu, ale w konkurencji z wczorajszymi niewolnikami były „białe plewy” na z góry wygranej pozycji; byli przecież biali, jak i ci co na szczycie – byli kimś, kim czarni, jakby się nie wysilali, stać się nie mogli. W dzisiejszej Anglii młodzi, pozbawieni kwalifikacji i perspektyw bezrobotni są najgorliwszymi i najbutniejszymi z patriotów, zawsze w pierwszej linii okołoboiskowych bitw toczonych z okazji meczów międzypaństwowych. Starają się jak mogą znaleźć takie określenie „brytyjskości” jakie zawarło by ich i wszystkie znakomitości, których imiona nadają tożsamości „Brytyjczyk” blasku, ale pozostawiało poza nawiasem tych z naprzeciwna lub z sąsiedniej ulicy, również jak oni młodych, pozbawionych kwalifikacji i perspektyw. Wiążąc godność i nikczemność z kolorem skóry, mogą zaprzeczyć ich związkowi z własnymi dokonaniem lub ich brakiem. I, jak ich poprzednicy z czasów „Jim Crow”, znajdują wreszcie żabę, którą mają szansę, i nadzieję, zmusić do przed nimi, zającami, ucieczki.

*

Tożsamość jest pojęciem agonistycznym; gdy o tożsamości mowa, można się domyślać bez wielkiego ryzyka błędu, że ktoś, gdzieś, kiedyś jest ze stanu rzeczy niezadowolony, z miejsca jakie wśród rzeczy obrał lub jakie mu przyznano, niezadowolony. Tożsamość jest protestem wobec *status quo ante* i wyzwaniem rzuconym *status quo*.

Wyzwanie może być, jak i większość sztuki płynno-nowoczesnej ery, „samoreferencyjne”; rękawicą ciśniętą własnemu „ja” – owemu „obcemu w sobie” Julii Kristewej¹⁸, niesformemu, niechętnemu tresurze, nieskłonemu do szczerości i ignorującemu nagabywania. Jest wtedy autokrytyką, nader dziś rozpowszechnionym procederem w społeczeństwie, które ustawiło mikrofony w konfesjonalach i uczyniło z intymnej spowiedzi najpopularniejsze z widowisk publicznych (żaden program telewizyjny nie skupia tej ilości widzów co *chat shows*, orgie samobiczowania i spowiedzi lekcje pogładowe). Nasza płynno-nowoczesna era, w jakiej (by się na Ulricha Becka powołać¹⁹) zlecono nam poszukiwanie biograficznych rozwiązań dla systemowych problemów, krytyka społeczna, jak tyle innych społecznych niegdyś czynności, uległa prywatyzacji. Jest głównie *samokrytyką*. Notoaryczna „refleksyjność” „późnej nowoczesności” jest zwrócona swym ostrzem przeciw samotnym uprawiaczom *refleksji*...

Samokrytyka, jak każdy z nas poświadczy, może być zajęciem ze wszech miar przez autorytety polityczne i ich naukowych rzeczników zalecanym i przez medio-

kratyczną opinię publiczną szczerze pochwałami obsypanym – ale jest też procederem dla uprawiającej ją osoby uciążliwym, szarpiącym nerwy i wiodącym nader często do niepoehlebnych, uwłaczających godności wniosków, samopotępienia i depresji. Mimo więc żeśmy zachęcani ze wszech stron do skupiania uwagi, gniewu, oskarżycielskiego patosu i reformatorskiej energii na „obcym w nas”, wolimy kierować i jedno, i drugie, i trzecie, i czwarte na „obcych wokół nas”. Nie bardziej to być może skuteczna pigułka od tej „do wewnętrznego użytku” na dręczące nas niepokoje i niepewności, ale mniej dla nas gorzka, bo wszak nie nam tykać ją przyjdzie. Niepowodzenia mozolnego wysiłku konstruowania klarownej a miłej w wyglądzie tożsamości nie musimy się już wstydić, o winę za niepowodzenia siebie pomawiając. To nie w nas mętność i zamęt – a na ulicy, w sąsiednich blokach, w tej masie obcych, trudnych do strawienia a natrętnych, co to czyste zanieczyszczają, przejrzyste mącą, oczywiste czynią zagadkowym a jednoznacznie niepojętym. Odwracamy więc od siebie ostrze tożsamości, owego notorycznie agonistycznego hasła, do innego boju nas teraz wzywa. Jak to soczyście opisał Tomasz Kitliński²⁰, zapominamy wówczas „o przybyszach w nas, naszą własną różnorodność, podmiot w procesie... Ślinimy się na widok obcych i na nich plujemy. Podmiot zamieniamy w pomiot..., czyli to, co i podnieca, i odpycha, a wręcz przygotowuje o mdłości, brzydzi. Nie wystarczy nam obcych zamordować: wpierw odbieramy im człowieczeństwo”.

Nad większością pól bitewnych naszych czasów powiewają sztandary plemiennej tożsamości, a rolę *casus belli* pełni najczęściej postrzeżone w obcych plemionach dla tej tożsamości zagrożenie. Nie łakniemy już cudzych terenów, nie chcemy podbojów i aneksji – chcemy „czystości etnicznej” własnego domu – tożsamości wolnej od utrapień dialogiem zwanym, bo wspartej na jednolitości gminy i jednakości jej mieszkańców. I nie okupantów w mundurach, nie armii najeźdźczych, nie zwartych żołnierskich sztyków i czołgowych kolumn się lękamy; nie przed nimi szukamy obrony – a przed rojem obcych oblegających granice i przed obcością, jaka załęgnie się niechybnie za rogiem, jeśli mu się uda przez granicę przedostać.

Kitliński, za Kristewą, proponuje wspomnienie o „obcym w nas” jako lekarstwo niezawodne na strachy, które nam nie dają spać a ich domniemanym podmiotom/pomiotom żyć. Oby miał rację. Niestety – nie wygląda na to, by ją miał. Wszak to właśnie przed przykrym widokiem „obcego w nas” uciekamy w pomiatanie pomiotem... Jeśli już coś jest tu terapią – to właśnie wylewanie złej krwi, zepsutej beznadziejnością zmagania z „obcym w nas” (obcym, bo psującym mozolnie przez nas konstruowane „rozwiązania biograficzne” dla poczętych przez system kłopotów), do pojemników nienawiści plemiennej. Ale mylna to terapia, zdrowia pacjentowi nie przysporzy. Przeciwnie – utrudni dotarcie do korzeni zła, a i pomoże im się rozplenić...

Sęk w tym, że nie istnieją biograficzne rozwiązania społecznie wytwarzanych problemów. Nie ma też plemiennych rozwiązań dla problemów globalnych. W szczerze wypełnionym świecie wszyscy jesteśmy skazani na wzajemne sąsiedztwo i wszyscy od siebie nawzajem zależni. Nasze zgryzoty są niepodzielne;

trapią nas wszystkich pospołu, i tylko pospołu stawić możemy im czoła. Kłopoty z tożsamością, razem przez nas (choć przez każdego z nas z osobna) przeżywane i tylko razem dające się usunąć, nie są zrzędzeniem Opatrzności – są produktem niezamierzonym naszego urzędzenia świata; ściślej mówiąc, braku troski o jego należyte urządzenie.

Gdy prywatyzacja działań postępuje równolegle do globalizacji ich skutków, niewspółmierność wyzwań i środków im sprostania minimalizuje szanse racjonalnych poczynań a wysiłki podejmowane skazuje na bezskuteczność. Rozwiązanie „problemu tożsamości” w zglobalizowanym świecie jest problemem polityki globalnej. Która to polityka jak dotąd nie istnieje...

Przypisy:

¹ „Płynna nowoczesność”: w książce pod tym samym tytułem (*Liquid Modernity*, Polity Press 2001) posłużyłem się przenośnią „cieczy” dla uchwycenia osobliwości obecnego stadium ery nowoczesnej. Uzasadniałem wybór tej metafory, zgrubsza biorąc, następująco:

Cechą zarówno cieczy, jak i gazów jest płynność. Jeśli zaufać *Wielkiej Encyklopedii Państwowego Wydawnictwa Naukowego*, płynem jest „ośrodek nie wykazujący spęzystości postaciowej”. Ciecze, jak i gazy, mają „określoną objętość”, ale nie mają „określonej postaci”. Ciecze różnią się od gazów tym, że „ich cząsteczki silniej oddziałują na siebie” – ale też i różnią się od ciał stałych tym, że choć ich „atomy i cząsteczki uporządkowane są w małych obszarach” i „wykonują drgania dookoła swych położenia równowagi”, „przechodzą jednak od jednego położenia równowagi do drugiego znacznie łatwiej”.

Ciecze różnią się od ciał stałych tym, że porządek rozciąga się jedynie na odległość paru drobinowych średnic. Cząsteczki ciał stałych są więc o wiele mocniej, niż w cieczach, zespolone. O wiele trudniej zerwać więź je łączącą, o wiele ciężiej cząsteczce wyrwać się z otoczenia, zmienić pozycję i podłączyć do innych sprzężeń. Z tego to powodu są ciała stałe „solidne”, „spójne”, „ściśle”. Każdy cieśla, kamieniarz czy rzeźbiarz wie dobrze jak się trzeba wysilić by wypiłować, wystrugać czy wykuć w nich kształt odmienny od zastanego. Gdy się już jednak kształt pożądanym drewnu, skale czy bryle marmuru nadało, można być pewnym, że będzie on trwał; równie jak stan poprzedni będzie na zmiany odporny. W odróżnieniu od ciał stałych, ciecze nie potrafią utrzymać swego kształtu na długo – zmieniają kształt pod wpływem słabych nawet sił zewnętrznych.

Na tym właśnie ta płynność cieczy i gazów polega. I na tym też zasadza się przydatność cieczy, ciekliwości, płynności, jako metafor współczesnego nam stadium nowoczesności.

Ciecze, rzecz można, nie wiążą ani przestrzeni ani czasu. Skoro ciała stałe posiadają trwałe wymiary przestrzenne, neutralizują one poniekąd upływ czasu, tym samym pozbawiając czas wagi. Płyny, dla odmiany, zmieniają kształt przy pierwszej okazji, a okazje nadarzają się w każdej chwili. W ich przypadku przepływ czasu ma więc znaczenie zasadnicze. Waży on bardziej niż przestrzeń, jaką zajmują – zajmują ją wszak „w danym momencie” tylko i zawsze gotowe są do zmiany miejsca i obszaru w jakim być im chwilowo wypadło. Jeśli ciała stałe „unieważniają czas”, to w sposobie bycia płynów czas właśnie głównie się liczy. W opisie ciał stałych można czas pominąć; zignorowanie czasu w opisie cieczy byłoby fatalną pomyłką. Wszystkie opisy płynów są „zdjęciami migawkowymi”; a każde zdjęcie migawkowe wymaga wdrukowania daty, jeśli już nie godziny czy minuty.

Płyny wędrują w przestrzeni bez szczególnego trudu, lekce sobie ważąc napotkane po drodze przeszkody. Płyny ciekną lub mkną wartkim strumieniem, rozlewają się i spływają, wzbierają i opa-

dają, rozpryskują i rozbryzgują, sączą się i broczą, ciurkają bądź rozchlapują, przeciekają i przelewają. W przeciwieństwie do ciał stałych, ciecze nie łatwo w ich pędzie powstrzymać. Jedne przeszkody opływają boki, przez inne drążą kanały przecieków, inne jeszcze rozmywają i rozpuszczają i nadwątliwszy rozsadzają lub kruszą, unosząc ze sobą szczątki. Ze spotkania z ciałami stałymi ciecze się wychodzą bez szwanku – gdy solidne zdawałoby się i niewzruszone bryły, jeśli nawet uda im swój kształt zachować, mokną i nasiąkają.

To ta właśnie niesłychana łatwość poruszania się skłania nas zazwyczaj do przypisywania płynom „lekkości”. Choć ciężar właściwy wielu cieczy przerasta ciężar właściwy licznych ciał stałych – skłonni jesteśmy wszelką ciekliwość uznawać za symptom lekkości, a wszelką nieruchomość za znak ociężałości. W zgodzie z faktami czy wbrew nim, kojarzymy „lekkość”, „nieważkość” czy „zwinność” z ruchliwością, chyżością i niestałością. Wiemy wszak wszyscy z doświadczenia, że im lżejszy plecak, tym szybciej biegniemy i im mniej walizek w podróż zabieramy, tym łatwiej nam podróżować.

Dzięki takim mocno osadzonym w naszym myśleniu skojarzeniom obrazu „płynności” i „ciekliwości” mogą się okazać pomocne w uchwyceniu i uzmysłowieniu doświadczeń, jakie we współczesnym nam stadium ery nowoczesnej są *nowe i bez precedensu*.

² Mc Neil Jr Donald G. *Politicians Pander to Fear of Crime*, „New York Times” z 5–6 maja 2002.

³ Patrz Nathaniel Herzberg i Cécile Prieur, „Lionel Jospin et le piège sécuritaire”, *Le Monde* 5–6 May 2002.

⁴ Wedle Donald G. McNeila Jr., *op. cit.*

⁵ O jakiej przypomniał ostatnio, w dziele *Homo sacer: Il potere sovrano e la nuda vita* (Einaudi 1995) włoski filozof Giorgio Agamben.

⁶ Cytowane za Marc Ferro, *Histoire des colonisations*, Seuil 1944.

⁷ W *Le Monde* z 25 października 2001.

Virilio Live: Selected Interviews, pod red. Johna Armitage’a, Sage 2001, s. 84, 71.

⁹ Patrz. Arland Ussher, *Journey through Dread*, Devin-Adair 1955, s. 80.

¹⁰ Jock Young, *The Exclusive Society*, Sage 1999, s. 164.

¹¹ Anthony Elliott, *Subject to Ourselves: Social Theory, Psychoanalysis and Postmodernity*, Polity Pres 1996, s. 3 i 129.

¹² Alberto Melucci, *The Playing Self: Person and Meaning in a Planetary Society*, Cambridge UP 1996, s. 28.

¹³ Wojciech Kalaga, *Mgławice dyskursu*, Universitas 2001, s. 13.

¹⁴ Raymond Williams, *The Country and the City*, Oxford UP 1973, s. 296–297.

¹⁵ *The Playing Self*, s. 33.

¹⁶ Patrz Joan Cocks, *Passion and Paradox: Intellectuals confront the National Question*, Princeton UP 2002, s. 160ff.

¹⁷ *Exodus*, V. 16

¹⁸ Patrz Julia Kristeva, *Étrangers à nous-mêmes*, Fayard 1988.

¹⁹ Patrz Ulrich Beck, *Risikogesellschaft: Auf dem Weg in eine andere Moderne*, Suhrkamp 1986.

²⁰ Tomek Kitliński, *Obcy jest w nas; Kochać według Julii Kristevej*, Aureus 2001, s. 10.